

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (42)

(fragmenty)



Tymczasem moja 97-letnia mama czeka już tylko na jedno: na listonosza, który przyniesie jej emeryturę. Pieniądze dołoży do tych oszczędności, które uzbierała na nowy grobowiec. Ma 3 tysiące. Potrzebuje jeszcze 2 tysiące, więc musi żyć co najmniej 4 miesiące, żeby uzbierać 5 tysięcy...

Mój pięcioletni wnuk Jasiu zaś nie śpi, nie je, tylko wyczekuje na prezenciki urodzinowe od ciotki Ewy, babci Zosi i tych, którzy się pojawią jutro, żeby być świadkiem zdmuchiwania przez niego pięciu świeczek na torcie. Za oknem znów prószy śnieg, wiosna nie może się wykokosić, mimo że dziś już 19 marca, moje imieniny.

Nowatorzy z Lascaux

Zwiedzanie Galerii Malarstwa XIX wieku w Sukiennicach. Kustoszka, oprowadzając nas, chwali tych malarzy polskich, którzy byli „nowocześni” i starali się dorównać artystom Zachodu, za którymi i tak pozostawali w tyle. Pytam, czy oznacza to, że nie mieliśmy w ogóle malarzy oryginalnych, samoswoich, tylko samych naśladowców i kontynuatorów?

Malarz Janusz Trzebiatowski ripostuje ironicznie, że malarzem na wskroś oryginalnym i niebiorącym od nikogo był autor pierwszych malowideł i rysunków na ścianie jaskini w Lascaux.

Ukazał się mój kolejny artykuł „Singapurski model szczęścia” w kolorowym, radosnym magazynie „Poznaj Świat” którym zarządza pani Kasia Rójek z Gdańska. Zrobiła mi przyjemność, pisząc do mnie sympatyczny list na temat mojej książki „Podróże z tej i nie z tej ziemi”.

Oglądałem interesujący film o Indianach Guarani w Ekwadorze, Natknąłem się na nich

też półtora roku temu w Brazylii. Patrząc na ich tańce rytualne i życie we wspólnocie, myślę o tym, jak bardzo oderwali się od Natury, Wspólnoty i rytuałów, stawiając na tak zwane wolne, indywidualne „ja”. Zastanawiam się, czy ten europejski „jaizm”, na którym ufundowane są cywilizacyjne prawa jednostki, nas uszczęśliwił. Wyłamał się z tańczącego w rytm Natury koła rytualnego, wyodrębnił się jako samotne monady wynieśliśmy swoje „ja” na parnasy. Ale musieliśmy też wziąć w pojedyncze ręce odpowiedzialność za to własne, „niepowtarzalne” „ja”, które czuje się często samotne w szczerym polu, porzucone i zagubione w Wielkim Kosmosie. Gdy tymczasem oni – w maskach, anonimowi, czuli się może bezpieczniej w rytualnym kole.

czasem czujesz się niebożątkiem
na tym może
nie-bożym świecie

wypędzonym
spod ochronnych skrzydeł
anioła stróża

budzisz się
w szczerym polu Kosmosu
samiuśki jak palec
bez ojca ziemskiego
Niebieskiego
(podobno umarł)

na tej planecie-igle
zagubionej
w stogu gwiazd

wiatr ci w oczy wieje
w sercu ciemno że oko wykol
i nigdzie nie znajdujesz schronienia

Klucz do poezji starego Miłosza

Czytam Miłosza. Poza pojedynczymi wierszami z tomów „Ocalenie” i „Miasto bez imienia” najbardziej przemawiają do mnie wiersze ostatnie, ze zbiorów „To” i „Druga przestrzeń”. We wczesnych utworach Miłosza razi mnie kaznodziejski, mentorski ton, który miejscami przeradza się w uczoną retorykę. Pierwsze wiersze katastroficzne, globalne, o wszystkim i niczym, zupełnie pozbawione waloru osobistego. Lubię, gdy wiersz jest dwuwymiarowy: osobisty i zarazem ogólny – uniwersalny. Retoryka poetycka, wykłady, traktaty pozbawione waloru osobistego nużą jak kazania księży: jałowe i zbyt zawieszane w abstrakcji, na poziomie ogólności. Lubię, gdy ogólność wynika jak owoc z drzewa, jak drzewo z korzeni – z poszczególności, z indywidualnego doświadczenia, z „prywatnej” ekspresji.

Sam Miłosz nie cierpiał „życiopisania”, ale ostatnie jego liryki mają charakter „znania, spowiedzi, i jakby zaprzeczają Miłoszowej idei poezjowania. Ujmują niesłychaną szczerością, wzruszają tak, jakby Miłoszowi

po Noblu już nie zależało na żadnym erudycyjnym kamuflażu.

Ten Miłosz współodczuwający z „braćmi mniejszymi” Miłosz empatyczny, Miłosz współczujący z pojedynczymi bliźniemi (a nie z Ludzkością) wydaje mi się najbardziej przekonujący. Tamten – pouczający, profesorski, raził przemądrzałością i popisowywaniem, mimo że warsztat poety imponujący.

W ostatnich wierszach, których mottem mogłby być krótki utwór: „Jeżeli” –

Jeżeli Boga nie ma,
To nie wszystko człowiekowi wolno.
Jest stróżem brata swego
I nie wolno mu brata swego zasmucać,
Opowiadając, że Boga nie ma.

– Miłosz jest mi najbliższy.

Przepiękne jest to jego sformułowanie określające Kościół jako wspólnotę bliźnich litujących się nad sobą: „Człowieczeństwo oznacza zupełną obojętność / Dostateczny to powód, żeby wspólnie z innymi wznosić świątynie / niewyobrażalnego miłosierdzia” („Religię bierzemy”).

Stary Miłosz uzewnętrznia się (pokazuje swoje miękkość, wewnętrzną, słabiznę) mocniej od Herberta, schowanego za aksamiitnymi metaforami, i Wisławy Szymborskiej, schowanej za zasłoną z uśmiechów i tiulów. Miłosz daje z siebie najwięcej, czytając jego wiersze, odczuwa się to powolne odkrywanie Miłosza w Miłoszu aż do trzewi, aż do znudzenia, bo w końcu jego jeremiady, skargi na ograniczoność ludzkiego poznania, na mizerię ludzkiego bytowania mogą miejscami nużyć...

A swoją drogą to ciekawe, że nie ma w twórczości pana Czesława żadnego erotyku czy liryku miłosnego... Poza – oczywiście – pięknym trenem „Orfeusz i Eurydyka” który czytałem wczoraj na tłumnych spotkaniach w Przeworsku i Jarosławiu.

Jest Rok Miłoszowski, więc wszyscy jak Polska długa i szeroka pasożytują na Miłoszu. W tym także i ja zaproszony przez Elę Tracz, dyrektorke biblioteki w Jarosławiu. Mieszkałem w klasztorze benedyktynek, jałem pysznego łosia oraz piłem finlandię na konto pana Czesława.

Wynalazek diabła

„Wszystko, co dobre na świecie, to wynalazek diabła, piękne kobiety, wiosna, pieczony prosiak, wino. Bóg zaś stworzył mnichów, napor z szafwii, posty i brzydkie kobiety. Niech to licho porwie!”

„Garść prochu, która kiedyś czuła głód, śmiała się i całowała. Grudka błota, która płakała. A teraz? Co za diabeł zsyła nas na ten świat i co za diabeł zabiera?”

(cytaty z „Greka Zorby” Nikosa Kazantzakisa)

cdn.